

Małgorzata Czermińska

Leopold Tyrmand - głos świadka

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 28, 77-83

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Małgorzata Czerwińska

LEOPOLD TYRMAND – GŁOS ŚWIADKA

Na początku lat 80-tych wielką popularność zdobył sobie *Dziennik 1954* Tyrmanda, pisarza znanego średniemu pokoleniu jako autor *Złego*, pierwszej po wojnie powieści kryminalno-sensacyjnej. Po okresie śmiertelnej nudy i nadętej powagi oficjalnego socrealizmu, opublikowana w 1955 r. powieść Tyrmanda z barwną, sensacyjną fabułą, osadzona we współczesnych realiach powojennej Warszawy, stała się natychmiast bestsellerem (trzy wydania w ciągu dwu lat!). *Złego* czytali wszyscy: od dziatwy szkolnej do emerytów, od sprzątaczkii do profesora. Żadna z późniejszych książek tego autora nie zdobyła takiego powodzenia. Jednak wkrótce po wyjeździe pisarza z kraju w połowie lat 60-tych¹ i po decyzji pozostania na Zachodzie, nakaz cenzury wymazał jego nazwisko z druku, a w konsekwencji, nieco później, także z pamięci czytelników. Zacytane do- szcześnie egzemplarze *Złego* stały się już tylko legendą, także z czasem blednącą.

Ćwierć wieku po sukcesie *Złego* pojawienie się *Dziennika 1954* stało się zno- wu czytelniczą sensacją, choć już trochę innego rodzaju. Powtórzyła się jednak znakomicie utrafiona zbieżność z zainteresowaniami i potrzebami czytelniczymi. Moment opublikowania książki (1980 w Londynie i zaraz potem, 1981 w kraju, oczywiście w drugim obiegu, staraniem NOW-ej) zbiegł się z początkiem nowego zainteresowania latami 50-tych. Egzemplarze *Dziennika* podawano sobie z rąk do rąk, pożyczając niekiedy na parę dni za ledwie, z powodu łańcuszka oczekujących.

Powodów tego zainteresowania było co najmniej trzy i to znakomicie wspo- magających się nawzajem. Czytelnicy szukali w książce Tyrmanda po pierwsze odkłamanego obrazu polskiego życia z epoki stalinowskiej, po drugie plotki o znanych postaciach artystycznego życia stolicy, i po trzecie skandalizującej kro- niki obyczajowej. Każdy z tych trzech powodów osobno wzięty mógłby stanowić wystarczającą przesłankę czytelniczego sukcesu, zaś w *Dzienniku 1954* zbiegły

się. wszystkie naraz. Czym były te trzy czynniki w momencie publikowania książki, a jak wyglądają dzisiaj?

Co do ostatniego elementu, wiele utworów zaprezentowanych polskiej publiczności w początkach lat 90-tych już dawno zdystansowało Tyrmanda. W czasach stanu wojennego jednak, kiedy drugi obieg wydawał głównie literaturę patriotyczno-nabożną (*Błaszany bębenek* Grassa czy Witkacowskie *Pożegnanie jesieni* należały raczej do wyjątków), niektóre doświadczenia erotyczne w *Dzienniku 1954* wydawały się opisane zaskakująco śmiało.

Plotek (i faktów) o znanych postaciach książka przynosi rzeczywiście wiele. Natomiast twierdzenie, że *Dziennik 1954* radykalnie odkłamuje obraz lat 50-tych, trzeba opatrzyć pewnymi zastrzeżeniami. Po pierwsze jest to świadectwo doświadczeń jednostki. Pole obserwacji ogranicza się do bardzo niewielkiego środowiska i nader krótkiego czasu (zapis obejmuje zaledwie trzy miesiące). Z drugiej strony jednak w tym środowisku właśnie (literacko-filmowo-dziennikarskim) dość wyraźne były mechanizmy działania totalitarnej władzy, łamiącej charaktery (choć na ogół bez łamania kości). Tyrmand nie zbudował kilku wyrazistych modeli, mających uogólniającą moc alegorii, jak dokonał tego Miłosz w *Zniewolonym umyśle*.

Autor *Dziennika 1954* sportretował z wieloma szczegółami (i często dosadnymi epitetami) liczną galerię znanych do dziś postaci artystycznego życia Warszawy, wymienianych często z imienia i nazwiska. W ten sposób wetknął kij w mrowisko. Wiele osób zostało nielitościwie umalowanych czarną farbą z powodu ich niegdyś zachowań, służalczych wobec komunistycznej władzy.

Na ich tle, jako nieliczni sprawiedliwi, pojawili się ludzie spośród przyjaciół diarysty – jak Stefan Kisielewski, Zbigniew Herbert czy Jan Józef Szczepański – pochodzący głównie z kręgu „Tygodnika Powszechnego”, wówczas właśnie niedawno rozwiązanego z powodu odmowy opublikowania wiernopoddańczego nekrologu po śmierci Stalina. Byli oni wówczas skazani na kulturalny niebyt, objęci zakazem druku; utrzymywali się z dorywczych, często przypadkowych zajęć.

Na początku lat 80-tych wielu twórców znalazło się w sytuacji podobnej, choć na pewno nie aż tak dramatycznej jak w latach 50-tych. Przypomnienie represji lat stalinowskich nabrało już po opublikowaniu *Dziennika 1954* zaskakującej aktualności: po prostu samo życie dopisało w stanie wojennym paralelę do tego, co przedstawiał Tyrmand, a on sam urósł niespodziewanie do roli prekursora opozycjonistów z epoki „Solidarności”.

Dziennik 1954 okazał się zresztą w paru miejscach ostrzem obosiecznym: przypomniiał „pryszczatą” młodość kilku wybitnych pisarzy, którzy jako dwudziestoletni debiutanci mieli swój udział w kreowaniu socrealizmu, następnie w 1956 roku stali się uczestnikami październikowego przewrotu i później na trwałe przeszli do opozycji (jak Konwicki czy Woroszyński), stając się jej autorytetami moralnymi. Tyrmand natomiast wyciągał stare, na wprost zapomniane rachunki,

które zdawały się być wciąż jeszcze nie zapłacone. Obosieczność tego przypomnienia polegała na tym, że wyplęnięto ono w momencie, w którym ci ludzie byli już w opozycji i to właśnie esbecja, chcąc zniweczyć ich oddziaływanie, wypominała im grzechy młodości.

Wielu czytelników, zwłaszcza młodych, sięgnęło po *Dziennik 1954* tak, jak sięga się po źródło historyczne, po relację świadka epoki. Bardzo długo bowiem czasy stalinowskie pozostawały w obszarze głębokiego milczenia. Jedynym utrwalonym ich obrazem (w literaturze, publicystyce, sztukach plastycznych, architekturze) było to, co epoka powiedziała sama o sobie, jej wizerunek skrojony wedle ściśle odliczonych miar i prawideł socrealizmu. Nie było żadnego opisu przedstawionego z dystansu, z perspektywy historycznej. Dopiero Wajda w *Człowieku z marmuru* podjął próbę wyjścia z tego milczenia.

Świadectwo pozostawione przez sztukę socrealistyczną zapadło w niepamięć z dwu co najmniej powodów: twórcy tej sztuki bardzo szybko, już w czasach „odwilży” zaczęli się jej wstydzić, a odbiorcy, przez parę lat przymusowo karmieni socrealizmem niczym gipsową papką, chcieli co prędzej wypluć to ohydztwo i sięgnąć po lepszą strawę duchową. Tak więc obie strony, choć w imię różnych racji, współdziałały ze sobą w dziele zapominania socrealizmu. Wprawdzie ogół społeczeństwa gotów był rozpamiętywać tę epokę z innych powodów niż jej niewydarzona sztuka, mianowicie dla poznania prawdy o jej zbrodniach i ukarania winnych, ale ze względów politycznych nie było to w pełni możliwe.

Po raporcie Chruszczowa na temat zbrodni stalinowskich i wskutek „odwilży” rozwijającej się w krajach zależnych od ZSRR wprawdzie zrehabilitowano wiele ofiar, ale ukarano niewielu sprawców i bardzo szybko oficjalną taktyką stało się odsuwanie stalinizmu w niepamięć. Świadomość społeczna z wolna przystawała na to jakby w poczuciu, że najważniejsze jest, iż koszmar minął, oraz w nadziei, że nie wróci. Wstrząsy polityczne lat 80-tych uczyniły sprawę na nowo aktualną, odżyło przekonanie, że nie jest możliwe odzyskanie wolności bez powrotu do prawdy o zbrodniach niedawnej przeszłości i ukarania winnych.

W takim kontekście pojawił się *Dziennik 1954*. Jego narrator, Leopold Tyrmand jako trzydziestoparoletni dziennikarz i zarazem kandydat na pisarza, opowiadał o swojej prywatnej wojnie, jaką wydał otaczającej go rzeczywistości PRL-u. Chodziło mu o to, by zachować intelektualną i duchową niezależność, ocalić swoją prywatność i w jej przestrzeni żyć po swojemu, mając poczucie wolności w tym własnym obszarze. Ceną tego duchowego komfortu było ubóstwo materialne, nie prowadzące jednak ani do ascezy ani do abnegacji.

Model życia, o którym pisze Tyrmand, polegał na tym, by nie dać się skusić przywilejom, dostępnym dla tych artystów, którzy wprzęgli swą sztukę w służbę propagandy. Zarazem jednak, i to było nie mniej ważne, bohaterowi *Dziennika 1954* chodziło o to, by nie pozwolić się zepchnąć do pozycji przegranego i pogardzanego pariasa. Dewizą, którą stale Tyrmand podkreśla, było żyć według włas-

nych miar, wymykając się zarówno mściwości potężnego wroga, jak też gardząc jego łaskami, które chętnie (choć kapryśnie) rozdzielał swoim pochlebcom. Bronią Tyrmanda było praktykowanie elementarnych zasad przyzwoitości, jak wierność w przyjaźni, oraz zachowywanie w życiu codziennym skromnego standardu „cnót świata zachodniego”, takich jak dobry gust, schludność, elegancja, pielęgnowanie osobistych upodobań kulturalnych i inne wartości prywatne, przeciwstawione wszechwładnemu molochowi tego, co publiczne i wspólne, a więc kontrolowane przez władzę. Był to ideał głęboko nienawistny komunistycznemu kodeksowi. Nie mając szans we frontalnym starciu z potężną machiną władzy i nie będąc materiałem na bojowca lub męczennika, Tyrmand podjął coś w rodzaju wojny podjazdowej, jedyną wojnę, jaką dandys (wtedy mówiło się „bikiniarz”) mógł wypowiedzieć monumentalnej brzydocie i nudzie socrealistycznego stylu w sztuce i obyczajach.

Ocena „źródłowej” wartości *Dziennika 1954* jest ściśle związana z inną kwestią. Natychmiast po opublikowaniu książki Tyrmanda wybuchł spór o to, czy jest to autentyczny dziennik pierwszych miesięcy roku 1954, czy też mamy do czynienia z mistyfikacją w zakresie gatunku literackiego, tj. tekstem, który faktycznie jest pamiętnikiem z warszawskiego życia, ale napisanym *ex post*, dopiero w latach 70-tych na emigracji, a tylko wystylizowanym narracyjnie i kompozycyjnie na dziennik.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że podobna, choć nie tak namiętna kontrowersja powstała wokół wojennego dziennika Andrzeja Bobkowskiego, zatytułowanego *Szkice piórkiem* (Francja 1940 – 1944). W wypadku Bobkowskiego nie kwestionowano autentyczności charakteru zapisu, przypuszczano tylko, że publikując dziennik w Paryżu w 1957 r. autor „poprawił” swój tekst w paru miejscach, dotyczących komentarzy politycznych na temat przebiegu działań wojennych (zwłaszcza na froncie wschodnim) i możliwych rozwiązań po zakończeniu wojny. Przewidywania Bobkowskiego sprawdzały się w zadziwiającym stopniu. *Szkice piórkiem* po wielokroć przeciwstawiają się opiniom formułowanym w dniach pisania dziennika. Dotyczy to nie tylko obiegowych sądów, ale i koncepcji wybitnych przywódców.

Pojawiły się więc przypuszczenia, że zaskakująca trafność politycznych komentarzy Bobkowskiego ma swe źródło w tym, iż niektóre fragmenty zostały uzupełnione już po wojnie, kiedy wiadomo było, co się stało. Jednym słowem, że diarysta, przygotowując tekst do druku, uległ pokusie wprowadzenia pewnych retuszy i uzupełnień, pokazujących w lepszym świetle jego polityczną przenikliwość. Wyrażano też jednak pogląd przeciwny: że Bobkowski nie „poprawiał” dziennika przed opublikowaniem, a po prostu znał lepiej mentalność rosyjską niż ludzie Zachodu i to pozwalało mu trafniej ocenić sprawę Katynia i przewidzieć sytuację, która później wytworzyła się po Jalcie.

Spór wokół autentyczności tekstu Tyrmanda jako zapisu powstałego w 1954

r. nie dotyczył trafności prognoz politycznych, chodziło natomiast o zbieżność jego sposobu widzenia, hierarchii wartości i ocen z tą, jaką wyznawała większość jego czytelników w prawie trzydzieści lat później. Argumentację dotyczącą dwu przeciwstawnych poglądów można prześledzić na przykładach opinii Tadeusza Konwickiego i Romana Zimanda².

Konwicki poświęcił Tyrmandowi prawie połowę swej książki *Zorze wieczorne*, opowiadając o zmiennych losach swej z nim znajomości a potem przyjaźni. Wyjawia, że przewijający się przez całą fabułę *Wniebowstąpienia* wątek nostalgicznych wspomnień o Lolu, który na zawsze wyjechał, poświęcony jest Tyrmandowi właśnie. *Wniebowstąpienie* powstawało bowiem tuż po wyjeździe autora *Złego* na Zachód. Konwicki jest przekonany, że *Dziennik 1954* został napisany dopiero w Ameryce, jakieś dwadzieścia lat później po przedstawionych w nim wydarzeniach. Koronne argumenty są dwa: nie może być prawdą, że udało się wywieźć z kraju rękopis dziennika, przemyślnie ukryty w samochodzie, bo ówczesne „służby specjalne” na granicy musiały mieć Tyrmanda szczególnie na oku. Taka kontrabanda, twierdzi Konwicki, była wówczas absolutnie niemożliwa. Po drugie zdradza pseudo-diarystę pomyłka drobna, lecz charakterystyczna, którą może popełnić pamiętnikarz piszący z perspektywy czasu, a która wykluczona jest w dzienniku prowadzonym na bieżąco. Tyrmand mianowicie pisze o dotyczącym Konwickiego zdarzeniu, o którym nie mógł wiedzieć w roku 1954 z tej prostej przyczyny, że miało miejsce dopiero w dwa lata później.

Konwicki patrzy też jakby od strony warsztatu, bo z perspektywy własnej książki *Kalendarz i klepsydra*, mającej formę dziennika prowadzonego przez okres jednego roku, a nazwanej autoironicznie „łże-dziennikiem”. Ukazała się ona w 1974 r., a więc w czasie, gdy londyńskie „Wiadomości” rozpoczynały druk fragmentów *Dziennika 1954*. Konwencja gatunkowa dziennika intymnego w polskiej literaturze przeżywała wówczas odnowienie, przemianę, doprawdy niezwykle rozkwit. W „Kulturze” paryskiej, w miejscu opuszczonym przez Gombrowicza, publikował swój „pisany nocą” dziennik Gustaw Herling-Grudziński. Zaczynał na dobre owocować eksperyment Gombrowicza, który wyciągnął skrajne konsekwencje ze spostrzeżenia, że najintymniejszy dziennik, prowadzony „dla siebie” i „w ukryciu”, pisany jest w istocie z myślą o utrwaleniu siebie, pozostawieniu swego obrazu potomnym. Jest więc dwuznaczny w samym założeniu, przeznaczony dla czytelnika, prowadzi z nim grę. Gombrowicz w znacznym stopniu wywiódł swoje pomysły z doświadczeń diarystów francuskich, którzy jako pierwsi, za przykładem André Gide’a, wprowadzili zasadę publikowania intymnych zapisków za życia autora.

Długi żywot ma też za sobą powieść w kształcie dziennika, stosująca rozmaite chwyt narracji stylizowanej na spontaniczną, rozwijającą się bez założonego z góry planu, zakończona w przypadkowym momencie (jak wyznania Tyrmanda, urywające się w pół zdania). Cała ta tradycja była znana pisarzowi przygotowują-

cemu do publikacji swój *Dziennik 1954* i mogła go skłonić do wybrania formy diarystycznej zamiast pamiętnikowej, jeśli istotnie pisał książkę dopiero w latach 70-tych. Gdyby istotnie tak było, nie byłby to pierwszy przykład stylizowania pamiętnika na zapis dziennikowy. Taką właśnie mistyfikację udowodniono swego czasu Wacławowi Kubackiemu.

Przeciwnego zdania był Roman Zimand, autor bardzo precyzyjnego i wnikliwego studium o *Dzienniku 1954*, jeden z pierwszych piszących o tej książce. Przypomina on, że Tyrmand z całą pewnością prowadził dziennik na początku 1954 r., czego niezbitym dowodem jest fakt opublikowania fragmentu w „Tygodniku Powszechnym” w 1957 r. oraz świadectwa osób, z którymi diarysta wówczas się przyjaźnił i pokazywał im dziennik. To oczywiście jeszcze nie dowodzi, że udało mu się wywieźć rękopis z kraju. Zimand jednak jest przekonany, że stylistyczne ślady późniejszych retuszów są tylko wynikiem opracowywania tekstu do druku, co jest powszechną praktyką przy publikacji dzienników, natomiast precyzja wielu szczegółów i niesłychane wierne oddanie atmosfery warszawskiego życia z lat 50-tych przemawiają za dziennikowym trybem powstawania zapisu, notowanego na gorąco.

Spór o to, czy zapis Tyrmanda pochodzi z roku 1954 czy dopiero z lat 70-tych, nie jest wbrew pozorom tylko filologicznym sporem o datę powstania tekstu. Tło tej dyskusji ma bezpośrednie odniesienie moralne. Uznanie książki za dziennik ułatwia przyjęcie surowej postawy oskarżycielskiej wobec ludzi splamionych jakimkolwiek współdziałaniem ze stalinowską władzą. Nie wchodzi wówczas w grę żadne wyjaśnienia, które mogła by nieść ze sobą koncepcja „ukąszenia heglowskiego”. Jeśli Tyrmand rzeczywiście napisał swój dziennik w roku 1954 i już wówczas osądził (i nie bał się wyrażać w dzienniku swych sądów w sposób otwarty, co mogłoby mieć bardzo poważne konsekwencje dla „wroga ludu”, gdyby tekst dostał się w ręce niepowołane) znaczy to, że było wówczas całkiem możliwe nie dać się „ukąsić” i nie ulec „zniewoleniu umysłu”. I nawet nie potrzeba było do tego cnót heroicznych. Wystarczyło trochę poczucia godności, trochę charakteru i odporności na pokusy. No i może trochę przekory. Zbigniew Herbert może dodałby, że chodziło tu o potęgę smaku.

Natomiast „opcja pamiętnikarska” nieco przytępia oskarżycielskie ostrze. Nie kwestionuje autentyczności autobiograficznego charakteru tekstu, ale każe z pewnym dystansem przyjmować surowość niektórych ocen. Jeśli samoświadomość wyrażona w *Dzienniku 1954* jest tylko pamięciową rekonstrukcją stanu ducha, dokonaną w dwadzieścia lat później, tedy narrator stosuje dwie różne miary: jest w istocie bogatszy o dwie dekady doświadczeń a chce, byśmy sądzili, że wiedział i rozumiał to wszystko i tak właśnie a nie inaczej już w Warszawie, w rok po śmierci Stalina. W chwili publikowania *Dziennika 1954* także wielu opisanych przez niego ludzi było już w sytuacji zupełnie innej intelektualnie i moralnie, ale zastosowanie chwytu narracji diarystycznej pozwoliło pominąć to mil-

zeniem, a tylko narratorowi umożliwiło skorzystanie w niewidoczny sposób z przywileju wiedzy, obejmującej następne dwadzieścia lat.

Literatura pełna jest apokryfów: fikcja powieściowa bywa sekretnie podbudowywana autobiografią, a dokument osobisty ograniczony jest subiektywnością sądu. Nie ma uniwersalnej metody, która najrzetelniejszego świadka uchroniłaby od mimowolnych pomyłek lub złudzenia perspektywy. Rzecz w tym, żeby czytelnik pamiętał o swym prawie do lektury krytycznej i był otwarty na słuchanie wielu różnych głosów (co jednak w zgiełku historii bywa trudne).

Przypisy

¹ W publikacjach na ten temat pojawiają się dwie daty: 1965 i 1966

² R. Zimand, *Tyrmand '54 w: Literatura źle obecna (rekonesans). Materiały z konferencji naukowej IBL PAN 27–30 X 1981*, Polonia Book Foundation, Londyn 1984, wyd. krajowe w obiegu niezależnym, wydawnictwo X, Kraków 1986. T. Konwicki, *Zorze wieczorne*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1991.